Horace B. Fyfe

# Pewność siebie

(Confidence)

`

Future Science Fiction Stories, September 1952
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Carter, czarnowłosy terrański konsultant, wszedł do sterówki, aby obejrzeć lądowanie na Bika V. Lyhud wolałby raczej, aby inżynier został w przygotowanym dla siebie przedziale, dopóki cały manewr nie zostanie zakończony.

„Będzie mi teraz opowiadał, o ile łatwiej byłoby wylądować jednym z bardziej zaawansowanych statków terrańskich", pomyślał. „Potem będę zdenerwowany i będę pilotował statek niezgrabnie, dowodząc w ten sposób jego słów!"

Była w tym tylko jedna pocieszająca rzecz. Ponieważ stery zostały zaprojektowane, aby pasowały do bikańskich macek, a nie terrańskich dłoni, Carter nie będzie mógł zaproponować, że zademonstruje swoją najwyższą terrańską sztukę pilotażu. Lyhud był pewny, że w innym przypadku, tak by się stało.

W chwili obecnej, gość był na szczęście dosyć mocno ograniczony, mogąc wygłaszać swoje komentarze wyłącznie w terconie, sztucznym języku używanym w całej Konfederacji Terrańskiej. Uczyli się go również ich sąsiedzi, którzy musieli mieć z nimi do czynienia.

— No cóż, teraz to już nie potrwa długo — stwierdził Carter, zacierając ręce, dokładnie tak jak się tego spodziewał Lyhud. — Już niedługo, kiedy tylko przyjrzę się temu waszemu projektowi ochrony zasobów wody, będę mógł wam powiedzieć, czy warto go dalej kontynuować.

Wpatrywał się w widok, który pojawił się na teleekranie, kiedy wchodzili w atmosferę Bika V, tak jakby szukając oznak błędów popełnionych przez bikańskich inżynierów.

— Jak pan mówił, od kiedy istnieje tam ta kolonia? — zapytał.

— Od kilkuset naszych lat — odparł Lyhud, pragnąc aby Ziemianin choć przez chwilę mu nie przeszkadzał, aby mógł sprawdzić zużycie paliwa.

— Wydawało by się, że przez tak długi czas, wasi specjaliści powinni zrobić coś z tą sprawą.

— Może w obecnej sytuacji wygodniej było poprosić o poradę Terran — zauważył Lyhud, dziwiąc się, w jaki sposób Carter mógł się nie zorientować w dyplomatycznym tle swojej misji.

— Też tak przypuszczam, teraz, kiedy tyle się mówi o przyjęciu was do Konfederacji. A jednak, po tak długim czasie…

— Och, przedkładano wiele sugestii — przyznał Lyhud. — Niestety, warunki stały się w oczywisty sposób poważne dopiero ostatnio. Koloniści ciągle są niechętni i podejrzliwi w stosunku do dyrektyw przysyłanych z Bika IV.

— Powinniście wprowadzić silniejszą kontrolę — napomniał go Carter, bawiąc się maszyną obliczeniową przymocowaną do pulpitu ze sterami.

Lyhud nie mógł zrobić nic innego, tylko słuchać myśli krążących w tej okrągłej terrańskiej głowie. To, że Carter był przyzwyczajony do wykorzystywania znacznie bardziej zaawansowanego wspomagania matematycznego, było boleśnie jasne. Bikanin przesunął łagodnie końcem jednej z macek po swojej długiej twarzy i zastanawiał się nad zewnętrznym podobieństwem obu ras.

---

**P**oza tym, że Terranin był niższy, bardziej krępy, miał stawy w kończynach i szerszą twarz, w ich ogólnym wyglądzie niewiele było różnic. Ubranie Lyhuda, ponieważ był on pokryty przez naturę miękkim, szaro-perłowym puchem, było znacznie prostsze. Nosił luźno przepasaną niebieską tunikę i miał założone plastikowe nasadki na końce macek kroczących. Chociaż jego nerwy słuchowe były zlokalizowane w wypustkach na górze podłużnej głowy, reszta bikańskich organów twarzy odpowiadała z grubsza funkcjonalnie terrańskim.

Lyhud zdawał sobie sprawę, że różnice wewnętrzne, musiały być bardziej istotne, ale one go nie martwiły. Zastanawiał się, natomiast, czy ziemskiego inżyniera można uznać za dostatecznie normalnego z wyglądu, aby był mile widziany na Bice V.

— W Konfederacji Terrańskiej — mówił dalej Carter — dopilnowaliśmy aby problem wykorzystania zasobów naturalnych, został właściwie zrozumiany na wszystkich planetach. Wydaje się, że nauka cieszy się u nas znacznie większym szacunkiem, niż tutaj, w układzie bikańskim.

— Cóż za fortunna sytuacja — westchnął Lyhud.

— Oczywiście, Terrański Departament Inżynierii stanie na wysokości swojej pozycji i odpowiedzialności. Nie mam zamiaru krytykować…

„A więc, czemu to cały czas robisz?", pomyślał Lyhud.

— …ale czy nie sądzi pan, że wasz rząd mógłby rozwiązać to lepiej, niż wysyłając nas tylko we dwójkę, małym statkiem, abyśmy zbadali sytuację?

— A jak pan to widzi? — uprzejmie spytał Lyhud.

— No cóż… Spodziewałem się, że wyślecie nas tu z całą flotą, ze sprzętem i technikami, abyśmy, jeśli ten projekt okaże się wartościowy, mogli usiąść do pracy i bez straty czasu go ulepszyć. Tak właśnie by zrobili Terranie.

— Myślę, że jest całe mnóstwo czasu — odparł Lyhud, wyciągając maskę, aby ustawić ponownie stałą w swojej maszynie obliczeniowej.

Carter roześmiał się, siadając na wyściełanym fotelu przez pulpitem z pomocniczymi urządzeniami sterowniczymi.

— Czasami nie ma się tyle czasu, ile się myślało — odciął się Carter.

Zagłębił się w opowiadanie długiej historii, o przygodzie na jednej z planet Konfederacji, która niby to miała ilustrować fakt, że kilka minut zaoszczędzonych przez szybką decyzję, mogło w rezultacie uratować kolonię na pozbawionej powietrza planecie.

Tak naprawdę, zdecydował Lyhud, prawdziwym jej celem było zwrócenie uwagi na to, że uniknięcie katastrofy kopuł powietrznych osiedla, było możliwe tylko dzięki sprytowi i inteligencji Cartera.

*To musi być naprawdę wygodne mieć tak wysoką opinię na temat własnej wartości*, pomyślał Lyhud. *Czy mam przedstawić go na Bika V zgodnie z jego własną oceną swojej osoby… i czy w ogóle będzie to możliwe?*

Poczuł jak wypustki na jego głowie skręcają się lekko na tę myśl. Carter również to zauważył.

— Musi pan myśleć o czymś co jest nieprawdziwe — zachichotał. — Jeżeli już czegoś się dowiedziałem o bikańskiej cywilizacji, to tyle, że musicie być bardzo ostrożni, jeżeli próbujecie się okłamywać.

— Widzę, że ktoś pana wtajemniczył w nasze psychologiczne sekrety — odparł Lyhud.

— Nie nazwałbym tego sekretem — skontrował Terranin. — Pański szef mówił mi, że nawet w biznesie musicie trzymać się obrzeży prawdy, ponieważ skręcanie wypustków za każdym razem wyjawia fałsz.

— Być może wprowadziłem złą liczbę do komputora — powiedział Lyhud.

Pomimo starań ze wszystkich sił zachowania kontroli, poczuł, że dwa małe wypustki w pobliżu tyłu jego głowy, lekko się poruszyły, ale wydawało się, że Carter tego nie zauważył.

---

**B**ikanin pozwolił Carterowi gadać, dopóki nie nadszedł czas na końcowe hamowanie i lądowanie, kiedy obaj musieli przypiąć się do pneumatycznych foteli. Lyhud znalazł właściwy port kosmiczny i sprowadził statek na dół lepiej, niż się tego spodziewał.

— A więc to jest metropolia Kol-Taku! — skomentował Terranin z góry drabinki zejściowej.

— Nawet na Bika IV — przyznał Lyhud, — nie mamy miast o ogromnych rozmiarach. Słyszałem, że istnieją takie na Terrze.

— No cóż, dajmy spokój — pocieszył go swobodnie Carter. — Pewnego dnia też takie będziecie mieli, jeśli przyłączycie się do Konfederacji. W końcu, to tylko kolonia. A jednak, uważam, że byłbym w stanie rozplanować te budynki bardziej efektywnie.

Lyhud westchnął i zszedł na ziemię. Mały, samozasilany wóz podjeżdżał, podskakując na nierównej nawierzchni, od strony budynków umiejscowionych w jednym z narożników lądowiska. Kiedy dotarł do nich, Lyhud przedstawił się miejscowemu urzędnikowi, siedzącemu obok kierowcy.

— Wydaje mi się, że wybrali panowie nienajlepszy czas na rozpoczęcie swoich badań — odparł od razu urzędnik, pomijając zwyczajowe uprzejmości, oczekiwane przy powitaniu obywatela mocarstwa galaktycznego. — Och, proszę mi wybaczyć – jestem Frolfor, kierownik miejscowej Komisji Zachowawczej.

— Oczywiście — powiedział Lyhud, pamiętając to nazwisko. — Pan również jest z Bika IV.

— Jak większość tutejszych inżynierów. Kolonia… no cóż, porozmawiamy o tym w moim biurze.

Kilka minut później, znaleźli się pod drzwiami niskiego budynku biurowego, na którym znajdował się znak urzędowy z napisami w języku bikańskim. Frolfor wprowadził ich do środka, zaś kierowca zabrał pojazd i zniknął za rogiem budynku.

— Czy tam nad drzewami, za lasem, widać miasteczko? — dopytywał się Carter.

— Wyglądałoby na większe — wtrącił się Lyhud, — ale budynki znajdują się częściowo pod ziemią. Noce tutaj są zimne.

Carter zaśmiał się lekceważąco, ale nie powtórzył swojego opisu tego, co Terranie uważali za skrzyżowanie wiejskich dróg. Lyhud odetchnął z ulgą, zmęczony tym żartem już po usłyszeniu go za pierwszym razem z kilku, w trakcie ich skoku w kosmosie z Bika IV. Miał nadzieję, że Carter będzie teraz za bardzo zajęty, aby raczyć go kolejnymi opowieściami o kolosalnych projektach prowadzonych w wielu dziedzinach przez terrańskich naukowców.

— Co pan chciał nam powiedzieć? — spytał miejscowego urzędnika, który krążył nerwowo po biurze, po zaproszeniu swoich gości gestem ręki, aby usiedli na miękkich, wyściełanych ławach.

— Ach… tak… żeby nie przedłużać — wymamrotał Frolfor, — sytuacja polityczna tutaj… to jest, była pewna…

— Agitacja w kolonii przeciwko projektowi? — pomógł mu Lyhud.

Frolfor spojrzał przepraszająco w stronę Cartera.

— Szczególnie — dodał delikatnie — kiedy rozeszły się wieści, że rząd wysłał obcą istotę, żeby nam pomogła.

— Chodzi panu o mnie? — dopytywał się Terranin oburzony i zaskoczony.

Lyhud zdumiał się, jak wyraz jego twarzy został zmieniony tylko poprzez ruch do góry linii włosów ponad oczami Terranina. Nieposiadający brwi Bikanie przyzwyczajeni byli do okazywania zdziwienia w inny sposób.

— Jak ktoś mógłby go nie lubić? — spytał się Lyhud w myślach ironicznie.

Frolfor wyglądał na zakłopotanego, chociaż Lyhud wątpił, czy Carter zdawał sobie z tego sprawę. Jego wypustki skręciły się, a potem uspokoiły, kiedy najwidoczniej zdecydował się powiedzieć po prostu prawdę.

— Niestety, tak — odparł Carterowi. — Miejscowi koloniści, to całkiem nieźli ludzie, wie pan, ale życie tutaj, jest ciągłą walką o przetrwanie. Są więc trochę z tyłu za ostatnimi nowinkami.

— Próbuje pan mi powiedzieć — warknął Terranin, że nikt nie zadał sobie kłopotu, aby ich oświecić, co do korzyści, jakie przyniesie kontakt z terrańską nauką.

**F**rolfor zaczał dukać jakieś słowa przeprosin, ale Carter przerwał mu.

— Domyślam się, że nie zdaje pan sobie sprawy z różnicy w pozycji Biki i planety, która rządzi Konfederacją! — głośno oświadczył. — Nie obchodzi mnie możliwość, że ta wasza zgraja może wysłać jakichś tępogłowych postrzeleńców, aby zagrozili właściwemu wykorzystaniu mojego czasu, tutaj. Zastanawiam się tylko, czy oni zdają sobie sprawę z tego, jak cenny on jest?

— Jestem pewien, że tak — odparł Lyhud, aby ulżyć niedoli widocznej na twarzy Frolfora.

Jego wysiłki, aby załagodzić sytuację nie zdołały jednak pójść dalej. Niemal w tej samej chwili, cała trójka zauważyła na zewnątrz jakieś zamieszanie. Sądząc po odgłosach, wyglądało to na tłum, zbliżający się od strony miasteczka.

— Proszę mi wybaczyć, ale muszę na chwilę wyjść! — wysapał Frolfor, biegnąc do drzwi. — Pójdę tam i zobaczę…

Zniknął, pozostawiając Terranina i Lyhuda, stojących naprzeciw siebie.

— Nie powinien pan go za bardzo winić — powiedział ten ostatni. — Ma za dużo pracy, aby zajmować się także propagandą.

— Ktoś jednak powinien zadbać o podstawowe szczegóły — sprzeciwił się Carter.

— To prawda, ale proszę pamiętać, że to jest tylko kolonia. Nawet Terra ma placówki, którym brak jest wielu potrzebnych elementów organizacji, czyż nie?

— Ta-ak — przyznał Carter. — Ale nie na planetach sąsiadujących z nami! Nasza cywilizacja jest nieco bardziej rozwinięta! My kolonizujemy układy planetarne, a nie tylko pojedyncze planety.

Lyhud popatrzył refleksyjnie w sufit.

— Tylko pogratulować — odparł z, jak uważał, największym taktem.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Carter wstał i podszedł do okna za biurkiem Frolfora, naprzeciwko wejścia. Było ono jednak za wysoko, aby można było przez nie wyjrzeć na zewnątrz.

— Ciekawe gdzie on poszedł — wymamrotał terrański inżynier.

Lyhud nic nie odpowiedział. Nasłuchiwał w skupieniu, próbując ocenić z większą pewnością, czy oddalający się dźwięk, który usłyszał, był to odgłos pracy silnika. Miał niepokojące przeczucie, że Frolfor ze swoim kierowcą, mogli zdecydować, że lepiej nie wracać.

Potem, kiedy na zewnątrz budynku wezbrała wrzawa głosów, był już pewien, że miał rację.

— To brzmi jak jakiś tłum! — zawołał Carter.

---

**Z**anim Lyhud zdążył cokolwiek powiedzieć, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do środka wcisnęło się ośmiu lub dziewięciu Bikan, ubranych w tuniki z szorstkiego materiału, wyprodukowane na Bika V. Kilkudziesięciu innych widać było na zewnątrz.

— Czego chcecie? — zaczął dopytywać się Lyhud, wycofując się za stół, na miejsce obok Cartera.

Zauważył, że terrański inżynier wyglądał na kawał chłopa, rozrośniętego odpowiednio do wpływu nieco większej siły ciężkości. W razie kłopotów, lepiej trzymać się blisko niego.

Koloniści, którzy weszli do biura, mamrotali coś między sobą i wypychali się nawzajem, dopóki z całej grupy nie wyłonił się jeden z nich, potrafiący mówić w terconie, użytym wcześniej przez Lyhuda.

— Co ja widzę? — rzucił wyzywająco ten osobnik, niski człowiek w połatanej szarej tunice, której wyblakły kolor dobrze pasował do jego pokrytej puchem skóry. — Czy jesteś kolejnym potworem z obcego systemu gwiezdnego, czy też zapomniałeś już mowy swojego gatunku?

— Wydaje mi się, że ty również mnie zrozumiałeś — chłodno odciął się Lyhud. — Dlaczego tak tutaj wpadliście? Ten człowiek, to szanowany przedstawiciel przyjaznej nam cywilizacji.

Koloniści popatrzyli groźnym wzrokiem na Cartera.

— Nie podoba nam się pomysł sprowadzenia tutaj tego stworzenia — oznajmił ich rzecznik. — Wystarczy już, że wy, leniuchy z domu, próbujecie kierować naszym życiem. A teraz jeszcze sięgacie do gwiazd, po obcą pomoc, w waszej bezsensownej chęci wtrącania się!

— Zachowujmy się rozsądnie — delikatnie odparł Lyhud. — Obaj jesteśmy tutaj, spełniając polecenia przełożonych. Rząd próbuje poprawić wasze warunki życia.

Miał nadzieję, że zabrzmiało to uspokajająco. Nie podobały mu się złe spojrzenia, teraz kierowane nie tylko na Cartera, ale również i na niego.

Czasami, pomyślał, nawet taki urzędas jak ja musi zarobić na swoją pensję. Jeśli zrobią coś temu skończonemu durniowi, spowoduje to groźne pomruki i żądania wśród gwiazd!

— Czy wystarczy wam może zapewnienie, że rząd bardzo poważnie patrzy na każdą niepożądaną ingerencję, u was? — spytał.

— Nie za bardzo — odparł Bikanin w szarej tunice, nieprzyjemnie wojowniczym tonem. — Jeśli chcesz wiedzieć, to my bardzo poważnie patrzymy tutaj na rząd!

— Zaraz, zaraz! — dyskutował Lyhud. — Bądźmy rozsądni! Co możecie zyskać przez groźby?

Znalazł chwilę, aby podziwiać zachowanie Cartera. Z agresywnie wypchniętą dolną wargą, Terranin spoglądał groźnie na tłum, w sposób obiecujący łamanie kości i wyrywanie macek, jeśli tylko spróbują go ruszyć.

Rzecznik tłumu, wyglądający na nieco mniej pewnego siebie, nabrał odwagi z wrzasków tych, którzy pozostali przed budynkiem.

— Powiem ci, jacy będziemy rozsądni! — oznajmił. — Weźmiemy ciebie i twój cenny wybryk natury i wsadzimy was z powrotem na statek, którym przylecieliście!

— Co z panem, Lyhud? — warknął Carter. — Ma pan zamiar pozwolić tej bandzie głupców, żeby deportowała *nas*!

— Och, my was stąd, tak po prostu, nie odeślemy! — zawołał kolonista. — Mamy już dość takich stworów jak wy, panoszących się tutaj, żeby komplikować nam życie. Chcemy zniechęcić was na przyszłość!

— No, dalej! — ponaglił go Carter. — Lyhud, niech mu pan powie, że ładują się w prawdziwe kłopoty!

— Niech pan mu powie — zasugerował Bikanin. — W tej chwili, jakoś nie potrafię wymyślić żadnego sensownego kłopotu, który moglibyśmy im sprawić!

— Nie marnujcie naszego czasu! — szydził rzecznik. — Możecie sobie pogadać, u siebie na statku, kiedy my będziemy zakładać zapalniki na wasze zbiorniki paliwa!

*On mówi na poważnie*! — pomyślał Lyhud. — *Mam nadzieję, że Terranin potrafi wymyślić jakąś dobrą groźbę. To może być nasza ostatnia szansa!*

Poświęcił sekundę na gorzką refleksję nad mamusią Frolfora, który uciekł tak pośpiesznie, nie ostrzegając ich. Lyhud uważał, że jego pragnienie życia jest równie duże, co kolonialnego urzędnika. A jednak, nieważne jak szybko rozważał kolejne plany w swym umyśle, nie potrafił wymyślić żadnego argumentu, który jakoś by uspokoił wzburzonych tubylców.

Zdawał sobie sprawę, że to będzie musiał pozostawić Terraninowi.

---

**C**arter, mniej więcej w tym czasie, odzyskał zdolność mówienia, po kilku chwilach oburzonego niezrozumiałego bełkotania.

— Posłuchaj, ty… ty… ty ignorancka, czwororęka małpo! Jesteście na prostej drodze, do wymazania tej waszej czwartorzędnej, wyschniętej, małej planetki z map wszechświata!

Rzecznik rozdziawił usta i gapił się na niego, a potem szybko rozejrzał się po swoich poplecznikach, stojących z obu stron.

— Czy myślisz, że Konfederacja Terrańska puści płazem taki czyn w stosunku do jednego z jej obywateli, i nie zrobi czegoś podobnego w odwecie? — dopytywał się Carter, zaciskając pięści i zaczynając wyraźnie różowieć na twarzy.

— A co oni mogą nam zrobić? — spytał rzecznik, z gestem pogardy. — Są za daleko. W przyszłości dwa razy pomyślą, zanim wtrącą się w nasze sprawy!

Lyhud zauważył cierpko, że jeden czy dwa wypustki na głowie tego człowieka, wyraźnie się skręciły, wskazując, że być może nie był on aż taki pewny, co do zdolności rządu terrańskiego do stosownego odwetu.

— Co oni mogą zrobić? — zaryczał Carter. — Powiem ci, co oni mogą zrobić i co na pewno zrobią! Czy wy tutaj, nigdy nie słyszeliście o terrańskiej flocie, która rozwaliła Centaurian?

W tłumie rozległy się pomruki, kiedy ci, którzy znali tercon, przetłumaczyli ostatnie słowa Cartera swoim sąsiadom. Lyhud zauważył, że wzmianka o słynnym terrańskim podboju, zrobiła na nich wrażenie.

*Szkoda*, pomyślał, *że w naszym układzie nie ma w tej chwili nawet jednego z ich statków*.

— Proszę im powiedzieć, co się stanie, Lyhud! — zaprosił go Carter.

Lyhud rozejrzał się nonszalancko po pomieszczeniu, a przynajmniej miał taką nadzieję. Powietrze zaczęło robić się duszne, z powodu zbyt dużej liczby rozemocjonowanych ludzi.

— Nie, niech pan im to powie! — odmówił.

— A jasne, że im powiem! Myślicie pewnie, że możecie wysadzić nas z naszym statkiem, a potem powiedzieć, że się rozbiliśmy, co?

Spoglądał na nich tak szaleńczym wzrokiem, że rzecznik wcisnął się z powrotem za stojących za nim ludzi.

— No cóż, to się nie uda! — wrzasnął Carter. — Wysłaliśmy już raport o naszym lądowaniu. Jeśli nie będzie kolejnych wiadomości, następnym przybyszem z kosmosu będzie terrański krążownik!

*On jest zdumiewający* — pomyślał Lyhud. — *Jak on może wymyślać te kłamstwa, w takim tempie? Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że on w nie wierzy!*

— Phi! A co nam może zrobić jeden statek? — dopytywał się rzecznik, ale już mniej wojowniczo.

— Wypali powierzchnię Bika V, aż ta cała paskudna planetka wyglądać będzie jak spieczony żużel! — zagroził Carter, waląc pięścią w stół tak mocno, że od wstrząsu cała sterta raportów przechyliła się przez jego brzeg i spadła na podłogę. — Jeśli chcecie zobaczyć co mniej więcej się stanie, to idźcie i załóżcie te wasze zapalniki! No dalej! Przeżyjecie prawdziwy wstrząs na widok płomienia jaki strzeli w niebo po wybuchu!

Ktoś z tłumu szepnął coś do wypustków rzecznika.

— Przesadzasz — oskarżył go ten ostatni, po chwili zastanowienia. — Jesteś tylko jednym człowiekiem. Kto cię będzie szukał?

*W końcu to sobie uświadomili* — pomyślał Lyhud. — *Nawet Terranie nie mogliby wysłać na wstępne badania nikogo innego niż mało znaczącego młodszego inżyniera. Zastanawiam się, czy ktokolwiek poza jego bezpośrednimi przełożonymi wie, że on tutaj jest – i kogo to obchodzi?*

— Tak myślicie? — spytał Carter. — Lyhud, proszę im powiedzieć, czy ja przesadzam?

Żądaniu temu towarzyszyło gwałtowne spojrzenie, wyraźnie ostrzegające Bikanina, że nadszedł czas na udzielenie jakiegoś wsparcia.

— Tak, on przesadza — odparł Lyhud, ale celowo skręcił dwa, czy trzy wypustki na czole, tak by wszyscy w tłumie to zauważyli.

---

**C**arter zdusił w gardle epitet i rzucił mu pełne bólu spojrzenie, ale Lyhud był usatysfakcjonowany.

— Nie do końca mi się to podoba — poskarżył się rzecznik kolonistom, stojącym po jego prawej stronie, w napięciu zapominając wrócić do rodzimego języka.

— Racja! — drążył szczelinę Carter. — Pierwsza nieidiotyczna rzecz, jaką do tej pory powiedziałeś! My, Terranie, mamy bardzo ścisłe regulacje, jeśli chodzi o ochronę, albo odwet za naszych obywateli. Pozwólcie, że

opowiem wam o broni, która zostanie użyta przeciwko wam. Tak na wypadek, gdyby ktoś z was próbował schować się pod ziemię…!

Lyhud słuchał tego z zewnętrznym spokojem, ale w duchu trochę się obawiał tej prezentacji ponurego opisu broni, która, jak zdawał sobie sprawę, gdyby istniała w rzeczywistości, byłaby ściśle tajna. Tłum nie widział jednak powodów, aby Carter nie miał się tym pochwalić; połknęli tę historię i ich odwaga sczezła.

Kiedy ci, którzy byli w biurze, zaczęli się ukradkiem wycofywać do drzwi, ścigani przez rozbuchane groźby Cartera, Lyhud wyciągnął mackę i chwycił Terranina za łokieć.

— Wracajmy na statek — powiedział. — Myślę, że teraz nam na to pozwolą.

— Wracać na statek? O czym pan mówi? Zaraz jak tylko skończę besztać tych wieśniaków, mam zamiar…

— Na statek — przerwał mu Lyhud. — Dokładnie to! Jeśli się pośpieszymy, może uda nam się wszystko potem wyjaśnić.

Kiedy otworzyło się przed nimi wolne przejście, Lyhud rozejrzał się wokoło, sugerując, że wyjaśnienie sprawy powinno oszczędzić kolonistom znacznych zgryzot. Kiedy doszli do statku i wspinali się po drabince do włazu śluzy powietrznej, wyjaśnił Carterowi po cichu, co naprawdę miał na myśli.

— Żeby cokolwiek wyjaśnić, nieważne komu — powiedział, ciągnąc za dźwignię, która zamykała właz, oddzielając ich patrzących spode łba twarzy na zewnątrz, — musimy pozostać przy życiu. Co może się nie wydarzyć, jeśli ci ludzie będą mieli czas przemyśleć te dzikie oświadczenia, które pan wygłosił. Badania mogą trochę poczekać.

Carter trochę gderał, ale poszedł za nim do sterówki.

---

**N**a pewien czas, ponieważ Lyhud zajął się sprawami związanymi ze startem, zapadła wymuszona przerwa w dyskusji.

W końcu, po przeprowadzeniu najważniejszych korekt kursu, skrzypienie foteli antyprzeciążeniowych ucichło. Lyhud włączył sztuczną grawitację i odprężył się.

— Najlepsze, co mogę dla pana zrobić, to bezpiecznie odwieźć pana na Bika IV — powiedział. — A przynajmniej zawiesić projekt do czasu lepszego przygotowania kolonii.

— No cóż, jeśli nie obchodzą pana badania…! — warknął Terranin.

Odpiął pasy fotela i wstał. Po chwili zaczął chodzić po zatłoczonym pomieszczeniu, tak jakby ostatnie sceny nadal mocno go jątrzyły.

— Muszę powiedzieć — w końcu wybuchnął, — że niewiele pan pomógł w rozmowach na temat wypuszczenia nas!

— A co mogłem jeszcze powiedzieć? — spytał Lyhud. — Gdybym powtórzył któreś z tych pańskich dzikich kłamstw, od razu by zobaczyli, że nie mówię prawdy.

— Hmmm! Mógłby pan mnie trochę mocniej poprzeć, w kwestii tego, że terrański rząd wysłałby ludzi, aby dowiedzieć się co się ze mną stało.

— Proszę! — odparł ze zmęczeniem Lyhud. — Między nami mówiąc, niech pan przyzna, że nikt by pana nawet nie szukał – a przynajmniej nie w najbliższym czasie!

— No dobrze, dobrze! Być może to kłamstwo było szyte trochę zbyt grubymi nićmi. Ale pan z pewnością nic by nie osiągnął tym ględzeniem po linii „bądźmy rozsądni”!

Lyhud zachichotał z zadowoleniem.

— To był mój sposób do pobudzenia pana, aby się pan odezwał — oznajmił Carterowi. — Wiedziałem, że jak już pan zacznie, wystraszy ich pan na śmierć!

— Co? A skąd panu to przyszło do głowy?

— Zauważyłem, że wy Terranie, zawsze oceniacie się bardzo wysoko — odparł Lyhud.

Przypomniał sobie te wszystkie opisy gigantycznych, wyjątkowych projektów inżynieryjnych Terran, w dalekich systemach planetarnych, którymi Carter zanudzał go podczas podróży na Bika V.

Usprawiedliwił w duchu swoją następną uwagę, tym, że ktoś taki jak Carter, nawet specjalnie nie poczuje ukrytego w niej żądła.

— Ponieważ wszystko ponoć robicie w tak wspaniały sposób — dodał, — logicznym było spodziewać się – biorąc pod uwagę konieczność przed jaką staliśmy – że jak już zacznie pan gadać, to również pan zrobi lepiej niż inni!

KONIEC